

25

ZBIORY OŚRODKA KARTA ●●●●

KWIECIEŃ

WROCLAW **OGNIWO**
NIEZALEŻNY MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO • KULTURALNY

Miesiąc Pamięci Narodo -
wej: OPERACJA WILEŃSKA AK

H. PASIERBSKA ▶ O CMEN-

TARZU NA ROSSIE ⚡

XLIII rocznica wybuchu
powstania w getcie

M. KOZŁOWSKI ▶ ZROZUMIEĆ ◀

LOSY BÓŻNICY I CMENTARZY

S P I S T R E Ś C I

Strona

- Wariacje na strunie "P" Łukasz Ostrowski	3
- Operacja Wileńska AK 1944 /Epilog/ Dr R. Korab-Zebryk	5
- Cz Rossie w Wilnie grozi śmierć? Helena Pasierbska	15
- Do Żydów Kazimierz Wierzyński	20
- Losy bóżnicy i cmentarzy Izaak	22
- Zrozumieć Maciej Kozłowski	26
- Z żydowskiego humoru	34
- Egzekucja pamięci Jerzy Ficowski	35

Komunikat wydawniczy:

NWW "Ogniwo" wydały w tym miesiącu kartkę w formie pocztówki /obustronna/ poświęconą tematyce katyńskiej. Kartkę wykonano metodą sitodrukową. Cena jednej kartki wynosi 50 złotych.

Wineta z tego miesiąca oraz stopka są ostateczną wersją okładki. Zrezygnowaliśmy całkowicie z elementu orła. Za dotychczasowe zmiany jeszcze raz przepraszamy.

Łukasz
Ostrowski
.....

WARIACJE
NA STRONIE "P"
.....

"Co jest prawdą dziś,
okazuje się fałszem jutro"
/Monteskiusz/

Kwiecień jest miesiącem pamięci narodowej, w kwietniu obchodzimy też rocznicę powstania w getcie warszawskim. Zamiast powtarzać znane fakty historyczne chciałbym zatrzymać się chwilę w mojej refleksji nad problemem polityki, a raczej politycznej konieczności i jej oceny z perspektywy czasu.

Polityka wcale nie musi być zawiłą i brudną sferą działalności społecznej, nie musi też być szkołą konformizmu i oportunistów, choć takie właśnie o polityce krążą nie tylko w naszym kraju obiegowe opinie. Po prostu, a raczej niestety, istnieją takie systemy polityczne i tacy ich przedstawiciele, dla których polityka stała się poletkiem doświadczenia własnych dewiacji czy też sposobem utrzymania przy użyciu wszelkich środków stanu posiadanej władzy. Nie demonizując problemu spróbuję określić następstwa takiej właśnie polityki.

Słowo - polityka, jest jednym z najbardziej terazniejszo brzmiących. To co dobre musi być według polityki utilitarne i właściwe na daną chwilę. Konsekwencją takiego twierdzenia, jest wśród polityków mających za cel utrzymanie władzy przekonanie, iż rację w polityce ma sprytniejszy, znający układy, umiejący omijać wszelkiego typu nakazy moralne a nade wszystko mający siłę. Jest to oczywiście przekonanie dające efekty na krótki okres historii. Aby zatem zatrzytać to wrażenie tymczasowości swoich poczynań i aby nadać im walor trwałości, politycy posługują się terminami nakazowymi /np. konieczność polityczna/, bądź powołującymi się na ich aktualność i słuszność /np. duch czasów/. Bezkrytyczni odbiorcy takich deklaracji nawet nie dopuszczają do siebie myśli, że akurat ów duch czasów może być fałszywy /np. totalitaryzm/, czy też konieczność polityczna może być dla nich samych szkodliwą.

Hitlerowcy dokonywali aktów ludobójstwa, gdyż według nich było to konsekwencją politycznej konieczności ich

systemu. Stalinowcy dokonywali aktów ludobójstwa, gdyż tego wymagała od nich konieczność polityczna.

6 Jednak ani Oświęcim, ani sowieckie łagry, ani publiczne rozstrzeliwania czy Katyń, nie zostały przez historię ocenione jako polityczna konieczność, lecz jako ohydne zbrodnie.

Podobnie ma się rzecz z tzw. rozsądkiem politycznym. W historii różne narody powstawały z bronią przeciwko wielokrotnie silniejszemu przeciwnikowi i trudno w pełni nazwać te decyzje politycznie rozsądnymi. Historia oceniła jednak te powstania z niezwykłą entymą i przychylnością.

Wnioski te są istotne dla każdego, kto używa dzisiaj pojęcia oceny historycznej w stosunku do własnych poczynań politycznych. Bowiem - i tak być powinno - historia jest opisem dziejów człowieka a nie gloryfikacją zręcznych ale zbrodniczych czynów.

Dzisiaj, kiedy człowieczeństwo musi bronić swoich racji przed racjami stanu, szabrownikami kultury, kupczykami sumień, kiedy wogóle woła się o humanitaryzm dowodząc jak bardzo ludzkość jest odczłowieczona, nie wystarczy obwołać jeden miesiąc czasem pamięci narodowej. Trzeba stale czuwać, aby "konieczność polityczna" nie doprowadzała do usprawiedliwiania zbrodni przeciwko człowiekowi.

x

I jeszcze jedno. W połowie kwietnia trwał we Wrocławiu /O.O. Dmianikanie/ Tydzień Społeczny pod hasłem "Polityka i moralność". Przyznaję, że w nim nie uczestniczyłem. Nie wiem więc czy chodziło o dowiedzenie, czy słusność ma ten, kto w polityce kieruje się moralnością chrześcijańską czy też etyką marksistowską. W każdym razie nie przypuszczam żeby znaleziono jednoznaczne odpowiedzi na poruszane tematy. W sytuacji polskiego życia społeczno-politycznego mamy bowiem do czynienia ze spotkaniem dwóch systemów moralnych, których nie sposób pogodzić. Trudno wymagać od marksisty przestrzegania chrześcijańskich zasad moralnych, kiedy kieruje się on przy wyborze etycznych dóbr własnej ideologii. Cała więc polemika na ten temat ma charakter błędnego koła. Utwierdzanie się zaś w przekonaniu o słusności i przewadze moralnej nic nie zmieni. Jeżeli władza jest zła, to się ją po prostu ulepsza albo zmienia.

OD REDAKCJI: Publikujemy fragmenty wycofanego przez cenzurę Epilogu do pracy Dr Romana Korab-Zebryka pt. "Operacja Wileńska AK 1944". Maszynopis Epilogu dotarł do naszej redakcji bez wiedzy autora.

Dr Roman Korab-Zebryk

OPERACJA WILEŃSKA AK 1944

Epilog

Zakończenie operacji wileńskiej pozostawiło bez rozstrzygnięcia problem dalszych losów Armii Krajowej na Wileńszczyźnie i w Nowogródzkim.

Znalezieniem rozwiązania dla tego niezwykle złożonego problemu zajął się aktywnie "Wilk" dążąc do nawiązania współpracy z władzami radzieckimi i tworząc szereg koncepcji uzyskania rozwiązania po swojej myśli.

Po zakończeniu nieudanego natarcia grupy wschodniej oddziałów AK na Wilno, "Wilk" ze sztabem operacyjnym wrócił do swojej kwatery polowej w Wołkorabiszkach. Wołkorabiszki leżące w znacznym oddaleniu od szosy oszmiańskiej i od traktu Turgielskiego, były w ciągu całego dnia 7. i 8. lipca na ogół omijane przez oddziały radzieckie prace głównymi szlakami na zachód.

"Wilk" wydał swojemu sztabowi operacyjnemu rozkaz nawiązania łączności z dowództwem wojsk radzieckich. Zadanie zostało wykonane w ten sposób, że na szosę oszmiańską wysłano patrol, wydzielony z oddziału osłony, z poleceniem zaproszenia do sztabu AK jakiegokolwiek napotkanego oficera radzieckiego, możliwie wysokiego stopnia. Patrol wrócił z oficerem radzieckim, z którym rozmowę wstępnią przeprowadził biegle mówiący po rosyjsku "Wilk", prosząc o zameldowanie wyższemu dowództwu wojsk radzieckich, że komendant AK chciałby nawiązać łączność z dowództwem oddziałów wojsk radzieckich atakujących Wilno.

W tym celu prosi o przysłanie oficera łącznikowego. Do tej pory miał dwie możliwości: powrotu do podziemia, ukrycia broni i rozproszenia oddziałów /co np. zrobiło już paru podległych dowódców twardo potraktowanych przez

oddziały radzieckie zdążające pod Wilno/, lub ujawnienia się przed władzami radzieckimi i zawierzenia swego losu i podległych sobie oddziałów dobrej woli nieznanego partnera, który mógł być nieufny i wrogo nastawiony wobec nich.

"Wilk" stawał się odtąd jedynym przedstawicielem rządu nawiązującym oficjalne stosunki ze Związkiem Radzieckim, zerwane notą rządu radzieckiego z 25 kwietnia 1943 roku. Było to zadanie niezmiernie odpowiedzialne, a wadze znacznie przekraczającej granice Wileńszczyzny. Nasuwa się pytanie: czy "Wilk" dorósł do tego zadania?

Analiza osobowości "Wilka" nie jest przedmiotem tego opracowania, odpowiedź będzie więc krótka: zdaniem swoich najpoważniejszych współpracowników nie był on politycznie wyrobiony. Ale dlaczego w takim razie nie został zastąpiony przez swego dublera z "obserwatorium" przy Komendzie Głównej AK?

"Obserwatorium" skupiało głównych Inspektorów, których zadaniem było przygotowanie odtwarzania Sił Zbrojnych i wojskowych, organizacja kraju po udanym powstaniu powszechnym. Wydawałoby się, że w ciężkim i decydującym momencie, dubler powinien wesprzeć "Wilka".

Dublerem dla Komendy Okręgu Wileńskiego AK był płk Emil Fieldorf, pseud. "Nil", który jednak pozostał w Warszawie.

Na całe to zagadnienie można spojrzeć także inaczej. W powstałej na Wileńszczyźnie sytuacji, na którą rzutował okres lat 1939-1941 i okres okupacji niemieckiej, nie mógł nic więcej zdziałać największy nawet talent polityczny i dyplomatyczny, bowiem polityczne przygotowania do spotkania ze Związkiem Radzieckim należało zacząć na początku okupacji niemieckiej, a nie po jej zakończeniu.

Tak więc "Wilk" miał zupełnie samodzielnie przeprowadzić na sobie i podległych sobie partyzantach praktyczną próbę realności Instrukcji 1300/III z dnia 20 listopada 1943r. i późniejszego rozkazu szczegółowego z 23 marca 1944 r. /nr 144/III KSZ/. Nie tylko zresztą samodzielnie, ale i samotnie jak się okazało.

Rząd i Naczyni Wódz w Londynie oczekiwali, że Okręgowy Delegat Rządu na Wileńszczyźnie dr Zygmunt Fedorowicz, pseud. "Albin" /w Okręgu Nowogródzkim nie było delegata rządu/ oraz Komendant Okręgu Wileńskiego i Nowogródzkie-

go AK ppłk Aleksander Krzyżanowski wraz z dowodzonymi przez siebie oddziałami spełnią swój obowiązek w myśl instrukcji 1300/III.

Jednak dr Fedorowicz postąpił inaczej:

w połowie czerwca 1944 roku wyprawił się do Warszawy, by tam naradzić się z Delegatem Rządu na Kraj inż. Janem Jankowskim pseud. "Klonowski", jakiej taktyki przytrzymać się na wypadek wkroczenia na Wileńszczyznę wojsk radzieckich. Obaj zdecydowali, że z ujawnieniem się należy wstrzymać się do czasu, kiedy z zachowania się organów radzieckich będzie można wywnioskować, że uznają oni Wileńszczyznę za terytorium polskie. /Zygmunt Fedorowicz "Trzydzieści lat mego pobytu w Wilnie 1914-1944" ewlacja mszps. 197 str Ossolineum Wrocław sygn. 147/57/...

Jak widać akcja polskiego podziemia na Wileńszczyźnie od samego początku nacechowana była połowicznością i brakiem konsekwencji. Dr Fedorowicz wrócił do Wilna w ostatnich dniach czerwca, pod prąd ewakuujących się tyłowych instytucji i oddziałów niemieckich. W czasie walk o Wilno znajdował się w śródmieściu i nie komunikował się z "Wilkiem" do 15 lipca.

Tak więc "Wilk" postanowił samotnie przekroczyć Rubikon i ujawnić się wobec władz radzieckich, przede wszystkim wobec organów wojskowych i podjąć rozmowy na płaszczyźnie współpracy militarnej.

Jednak na wypadek gdyby stosunki z władzą radziecką nie ułożyły się pomyślnie, interesy podziemia zbrojnego miały być zabezpieczone...

W początkowym okresie po wkroczeniu wojsk radzieckich, "Wilkowi" na rękę były samorzutne inicjatywy liniowych dowódców AK nawiązujących współdziałanie bojowe z wielkimi jednostkami Armii Czerwonej.

Przykłady wojskowego współdziałania oddziałów AK z Armią Radziecką i to na skalę operacyjną: jak nap.2 Zgrupowanie AK stanowiły dobitny kontrargument wobec zarzutów podnoszonych wielokrotnie w przeszłości przez partyzantów radzieckich, że oddziały partyzanckie AK unikają walki z Niemcami.

W miarę jednak szybkiego oddalania się frontu i przesuwania się wraz z nim na Zachód 2 Zgrupowania AK "Węgielnego" i Zgrupowania nowogrodzkiego "Borsuka", które zawędrowało aż pod Grodno, "Wilk" zaniepokoił się uszczupleniem swego stanu posiadania.

Bowiem sytuacja polityczna uległa obiecującej zmianie i "Wilkowi" zostawiła nadzieję zrealizowania wosjkowego porozumienia się ze Związkiem Radzieckim.

Taki wniosek dawał się wysnuć z faktu przydzielenia do "Wilka" radzieckich oficerów łącznikowych.

9 lipca zameldowało się u ppłk Krzyżanowskiego dwóch oficerów delegowanych przez sztab 3 Frontu Białoruskiego ppłk Nikołajew i oficer w stopniu majora /ustna informacja por. Józefa Ciecierskiego pseud. "Rokita" p.o. oficera informacyjnego w sztabie operacyjnym/. Odtąd towarzyszyli oni dowództwu Okręgu AK aż do 17 lipca. Fakt przydzielenia oficerów łącznikowych miał poważną obiektywną wymowę i należało go ocenić jako sukces. Mimo to "Wilk" dikażywał zaniepokojenie. Można przypuszczać, że niepokoiło go szybkie przesuwanie się frontu na zachód, przez co zgromadzone pod Wilnem oddziały AK, jakgdyby coraz bardziej grzęzły w masie wojsk radzieckich, nie mając żadnych określonych celów militarnych czy choćby perspektyw. Oddalanie się frontu zdawało ~~xx~~"Wilka" i podległe mu oddziały na łaskę i niełaskę wojsk radzieckich.

"Wilk" stracił początkowo zabezpieczenie swojej niezależności w postaci możliwości uskoku w lukę słabo nasyczonego wojskiem frontu niemieckiego, co dawało pewne możliwości manewru...

W tej sytuacji "Wilk" postanowił sięgnąć po argument, który by możliwie wymownie poparł żądania. Najlepszym sposobem wydawało mu się zademonstrowanie liczebności i zwartości oddziałów AK na specjalnie pomyślanej koncentracji.

W ziwązku z tym jednostki i związki taktyczne AK, które oddaliły się od wileńskiego rejonu walk otrzymały rozkaz "Wilka" do powrotu.

Demonstracja liczebności AK była jednym z trzech elementów, na których "Wilk" opierał swoją koncepcję dogadania się z Dowództwem Frontu Białoruskiego.

Drugim elementem taktyki "Wilka" było zapewnienie sobie możliwości uchylenia się przed ewentualnym zagrożeniem przez odwrót do Puszczy Rudnickiej. Wyraźnie pisze o tym do Komendanta Głównego AK w depeszy z 13 lipca l.dz. 131-99/tjn/44:

"W zależności od ustosunkowania się Sowietów zamierzam:

1/ Pozostanie w rejonie Wilna, koncentrując większość

sił w Puszczy Rudnickiej, częścią wspierać amię sowiecką w jej walce z Niemcami. Chcę wywalczyć uznanie nas przez Sowiety jako AK.

2/ Za żadną cenę nie dam się zbroić..

Zaniepokojony rozwojem wypadków "Wilk" przez zaufanych gońców wysłał ustnie rozkazy do jednostek, które znalazły się w Wilnie lub w bezpośrednim sąsiedztwie Wilna, by niezwłocznie maszerowały w kierunku Puszczy Rudnickiej.

Siatka konspiracyjna również otrzymała rozkaz kierowania ujawniających się oddziałów i ochotników w rejon masywu leśnego Puszczy Rudnickiej...

Dodatkowy powód do zaniepokojenia dały "Wilkowi" zrozumiałe skądinąd zarządzenia Komendantury radzieckiej w Wilnie o zdawaniu broni władzom radzieckim i o ograniczeniach posiadania jej przez obwieszonych bronią pojedynczych partyzantów AK, którym pozwolono w tej fazie zatrzymać tylko jeden rodzaj broni.

Wiązało się to ponadto z powierzeniem funkcji milicji porządkowej w mieście oddziałom partyzantki radzieckiej z Puszczy Rudnickiej, które poruszały się po mieście na ogół oddziałami w sile plutonu. Stosunek ich do partyzantów AK wahał się w granicach od niechęci do jawnej wrogości i zawsze był nasycony podejrzliwością...

Zamiar koncentracji całości sił AK obu okręgów wileńskiego i nowogródzkiego, na przedpolu i w głębi Puszczy Rudnickiej /opuszczonej całkowicie przez partyzantkę radziecką/ jest szukaniem właśnie wojskowego rozwiązania, gdyż zakładał możliwość ograniczonej konfrontacji zbrojnej...

Jest zrozumiałe, że możliwość wykorzystania Puszczy Rudnickiej jako zaplecza operacyjnego była kusząca dla ludzi, którzy przyzwyczaili się do niezależności zabezpieczonej własną bronią, ale oparcie się o "Puszczy Rudnicką" miało także ujemne strony, nie mówiąc o sprawach kwatremistrzowskich.

Przed wszystkim był to teren gruntownie spenetrowany przez partyzantów radzieckich w czasie okupacji hitlerowskiej tak, że skuteczne ukrycie się w nim nie było łatwe...

Tak więc wojskowe rozwiązanie, dopuszczające do starcia zbrojnego nie mogło wystarczyć.

Wobec tego "Wilk" zaczął szukać rozwiązania politycznego.

Sztab Frontu znajdował się w miasteczku Smorgonie na

linii kolejowej Wilno-Miłodeczno, "Wilk" udał się tam zdobyczym samochodem niemieckim w towarzystwie ppłk Ni-kołajewa, zabierając ze sobą mjra Brodzikowskiego. Obaj oficerowie doskonale władali językiem rosyjskim i nie potrzebowali pomocy tłumacza...

Z ramienia Dowództwa 3 Frontu Białoruskiego rozmowy prowadził nieznanego nazwiska generał broni, który nie przedstawił się, ani nie określił swojej funkcji. Krzyżanowski i Brodzikowski byli przekonani, że rozmawiają z dowódcą frontu. Według później zebranych danych był to /prawdopodobnie/ delegat NKWD lub NKGB do Rady Wojennej Frontu...

Dzień następny 13 lipca przyniósł ostateczne zakończenie walk o Wilno. Jednocześnie tego dnia wyraźnie zaznaczył się koncentracyjny ruch oddziałów partyzanckich AK i licznych grup i grupiek ochotników w kierunku Wilna. Wilno było dla nich zamknięte, więc zatrzymywały się poza jego granicami, a zakaz wstępu do miasta powodował niepożądane nastroje i komentarze.

Terenowe placówki konspiracyjne przekazywały tym oddziałom dyrektywę "Wilka" o koncentracji w rejonie Puszczy Rudnickiej. Ten i następny dzień dały dowództwu radzieckiemu okazję przekonać się, że "Wilk" jest niekwestionowanym dowódcą wszystkich oddziałów AK oraz że oddziały cechuje wysoki poziom dyscypliny i świadomości politycznej...

14 lipca "Wilk" został ponownie zaproszony do tego samego generała dowództwa 3 Frontu Białoruskiego. Jak poprzednio towarzyszył mu mjr Brodzikowski. Treść rozmowy stanowiła zasadniczy zwrot w stosunkach między stroną radziecką i oddziałami AK. Treść tę znamy z depeszy dowódcy okręgu Wilno do dowódcy AK z 15 lipca L.dz.13167/tjn/44:

"Jako dowódca oddziałów AK zostałem zaproszony do dowódcy 3 Frontu Białoruskiego gen. Czerniachowskiego. Rozmowy odbywały się w dobrej atmosferze. Polityki i Berlinga nie poruszano. Przyjęto bez zastrzeżeń naszą propozycję wystawienia dywizji piechoty i brygady kawalerii w pierwszym rzucie z szybkim dojściem na front jak również pomoc materialną Sowieców. Proszę o aprobatę" /PSZ.III.614/

...Od rana 15 lipca zaczęto wysyłać rozkazy do wszystkich jednostek AK z poleceniem przemarszu na miejsce nowej koncentracji. Rozkaz podawał uzgodnione z dowództwem

radzieckim trasy przemarszów. Oddziały AK oddzielone od rejonu koncentracji przez miasto Wilno, nie otrzymały prawa wkroczenia do miasta, lecz miały je ominąć traktem okrężnym przez Wołokumpie, gdzie zbudowany został most pontonowy, Górę Borową, Młyn Francuski i Kolonię kolejową.

Jako koniec koncentracji oddziałów AK, z których miała być sformowana 19 dp i jako poligon szkoleniowy, dowództwo radzieckie wyznaczyło rejon w kształcie przybliżonym do trójkąta, którego wierzchołkami były Miedniki-Turgiele-Taboryszki. Jest to teren zupełnie płaski i słabo zalesiony, ograniczony szosą oszmiańską i lidzką. Od Puszczy Rudnickiej oddalony był średnio o jeden dzień marszu /23-30 km/.

Na zachód od szosy lidzkiej biegła linia kolejowa Wilno-Lida, wyznaczająca wschodni skraj Puszczy Rudnickiej. Jednostki AK, które 15 i 16 lipca zaczęły wkroczać w wyznaczony rejon koncentracji, znalazły się pomiędzy licznymi oddziałami radzieckimi wszelkich rodzajów broni, piechoty, broni pancernej, artylerii i konnicy, które batalionami i dywizjami zaległy w tym terenie w szachownicę, do reszty pogarszając i bez tego ciężkie warunki zakwaterowania i wyżywienia...

16 lipca dowódca Frontu Białoruskiego gen. armii Iwan Czerniachowski zaprosił do siebie na następny dzień Komendanta Okręgu "Generała Wilka". Radziecki oficer łącznikowy, który przekazał to zaproszenie dodał, że dowódca frontu chciałby osobiście poznać dowódców podległych "Wilkowi" jednostek, zwłaszcza tych, którzy wyróżnili się w czasie ostatnich walk...

Głównym tematem rozmowy dowódcy 3 Frontu Białoruskiego z dowódcą oddziałów partyzanckich AK miała być planowana organizacja polskiej dywizji piechoty. Gen. Czerniachowski wyraził życzenie zapoznania się z etapami dywizji. Strona radziecka już poprzednio wykazywała zainteresowanie tym zagadnieniem. Szef sztabu operacji polowych "Wilka" mjr dypl. "Sław" /Teodor Cetys/, absolwent I Kursu Wyższej Szkoły Wojskowej w Londynie w roku 1941 przygotował odpowiedni Order de Bataille, oparty na polskim schemacie uzupełnionym angielskimi doświadczeniami...

17 lipca między godziną 10 a 11 zameldował się u "Wilka" radziecki oficer łącznikowy, który miał mu towarzyszyć do gen. Czerniachowskiego... Siedziba gen. Czernia-

chowskiego mieściła się w Wilnie, w piętrowej willi z kolumienkami przy ul. Kościuszki 16...

Rozmowę zagaił "Wilk" poruszając sprawę Ordre de Bataille polskiej dywizji. "Sław" położył teczkę ze schematem organizacyjnym na biurku. Czerniachowski nie spojrział na nią. Podniósł się oparty rękami o biurko, przerwał "Wilkowi" słowami: "Nikawo do gawora nie budiet. Po poruczeniu sowietskowo prawitielstwa, ja was dołžen obie-zoruzit". /Żadnej umowy nie będzie. Na polecenie rządu radzieckiego mam panom odebrać broń/. Boczne drzwi otworzyły się gwałtownie pchnięte i wpadli żołnierze z automatami...

W parę godzin później do siedziby dowódcy 3 Frontu Białoruskiego przybył z Wołkorabiszek radzieckim samochodem w towarzystwie radzieckiego generała-majora ppłk Lubosław Krzeszewski, organizator "NIE", przewidziany następcą "Wilka"... Razem z nim przyjechał ppłk Adam Szydłowski pseud. "Poleszczuk", "Maurycy", komendant Podokręgu Nowogródzkiego AK od 26 czerwca 1944 r...

O ich rozbrojeniu i uwięzieniu pisze Krzeszewski w swoim "sprawozdaniu" /Archiwum Instytutu Historii PAN, sygn.A - 287/65/ co następuje:

"...Po przybyciu do Wilna na ul. Kościuszki, kiedy wszedłem do poczekalni, zastałem tam 5 oficerów z automatami w rękę, a generał NKWD, który mnie przywiózł oświadczył, że otrzymał z Moskwy rozkaz rozbrojenia mnie, po czym osobiście mnie zrewidował, a po krótkiej chwili sprowadził do lochu..." W podobny sposób została zatrzymana większość oficerów sztabowych Okręgu Wileńskiego AK...

Po przełomowych dla Armii Krajowej wydarzeniach 17 lipca, nowe władze podziemia na Wileńszczyźnie wydały następujący komunikat /opublikowany w nr 3 "Wiadomości Polskich" Wilno, 22 lipca 1944 r./:

"Komunikat Dowództwa AK z dn. 19.7.1944 r.

Oddziały AK skutecznie walczyły o Wilno od 6 do 14 lipca br. W tej akcji współdziałały z oddziałami sowieckimi i poniosły duże straty, lecz zadały Niemcom krwawe ciosy oraz wzięły licznych jeńców i zdobyły dużo sprzętu. Wkład oddziałów AK w zdobyciu Wilna został należycie uznany przez sprzymierzonych i kilkakrotnie podkreślany w audycjach londyńskiego radia. Działania te zostały również w pełni uznane przez dowództwo armii sowieckiej frontu białoruskiego, co stwierdzą na piśmie niektórzy dowódcy

oddziałów radzieckich współpracujących z AK wyrażając im jednocześnie podziękowanie za wykonane bojowe zadania i proponując przedstawienie listy wyróżniających się w akcji dla nadania im odznaczeń sowieckich. Po zajęciu Wilna, władze ~~zwane~~ sowieckie nie zgodziły się na wkroczenie do miasta zwartych oddziałów polskich czemu to się lojalnie podporządkowały, nie chcąc dawać powodów do nieporozumienia. Dowódca 3 Frontu Białoruskiego na konferencji nocnej z dnia 14 na 15 lipca z "Wilkiem" wyraził zgodę na utworzenie dwóch dywizji piechoty i brygady kawalerii podporządkowanych Komendzie Głównej AK i Naczelnemu Dowództwu w Londynie, oświadczył przy tym, że czyni to w porozumieniu ze swoimi przełożonymi. Dnia 17 lipca w godzinach wieczornych oddziały NKWD wsparte czołgami i lotnictwem aresztowały "Wilka" z całym jego sztabem, żołnierzy rozbili i internowali w różnych punktach. Powyższe fakty dowodzą, że żadne oświadczenia i zobowiązania władz sowieckich nie będą dotrzymane i nie można na nich polegać, co społeczeństwo winno mieć stale na uwadze w dalszym rozwoju wypadków.

Komenda Okręgu Wileńskiego"

/centralne archiwum KC PZPR Dział Prasa Okupacyjna sygn. P 260 im/...

Komenda Główna AK odezwała się dopiero 20 lipca gdy decyzje na szczeblu lokalnym już zapadły. W porównaniu z nimi dyrektywy Komendy Głównej AK nie zawierały na ogół niczego istotnego. Depesza Komendanta Głównego AK do dowódcy Okręgu Wileńskiego miała następujące brzmienie:

"W związku z zameldowaniem przez Was o aresztowaniu dn. 17.7. Sztabu Okręgu Nowogródek i Wilno polecam:

- 1/ przerwać jakkolwiek współpracę z Sowietami
- 2/ ściągnąć siły do Puszczy Rudnickiej skąd przesunąć się w kierunku południowo-zachodnim bądź do Puszczy Augustowskiej, bądź w rejon Białystok
- 3/ walki z Sowietami przyjmujcie tylko w ostateczności. Starajcie się przesunąć bez walki
- 4/ utrzymanie łączności radiowej ze mną ma zasadnicze znaczenie /Jan M. Ciechanowski - "Burza" - w okręgach Wilno i Nowogródek "Orzeł Biały" nr 89/1236/, Londyn 1971 r./"

Podobnej treści wiadomości o wypadkach wileńskich wysłał Tadeusz Bór-Komorowski do Naczelnego Wodza PSZ w Londynie /PSZ.III.65/...

O losach zatrzymanych oficerów i żołnierzy AK meldował drogą radiową, nowy dowódca Okręgu Nowogródzkiego AK ppłk dypl. Maciej Kalenkiewicz, pseud. "Kotwicz" w depe-szy do Naczelnego Wodza z 22 sierpnia 1944 r. L.dz. 13313/tjn/44:

"Aresztowanie oficerów i dowódcy "Wiana" i "Nowin" /okręgi Wilno - Nowogródek - przyp. autora/ w więzieniu NKWD w Wilnie.

Losy "Wilka" i "Poleszuka" nieznane. 5 do 7 tysięcy internowanych w Miednikach żołnierzy wywieziono w kierunku Mińska. Ponad 70 oficerów wywieziono samochodami w nieznanym kierunku. Postawa internowanych do końca nieugięta. Na wszelkie agitacje na armię Berlinga odpowiadają gwizdami i zbiorowymi okrzykami "My chcemy Wilka" /PSZ III 615/...

Zarządzenie władz radzieckich o poborze 18-roczników do armii radzieckiej, o rozciągnięciu obywatelstwa radzieckiego na mieszkańców Wileńszczyzny i Nowogródziny oraz działalność NKWD, stały się bezpośrednią przyczyną żywiołowego powstania licznych oddziałów partyzanckich nieskontrolowanych i niepodlegających żadnemu centralnemu kierownictwu. Oddziały te zasilane przez zagrożonych działaczy podziemia i młodzież chroniącą się przed mobilizacją, ale przede wszystkim przez element reagujący w ten sposób na zawiedzenie zaufania i przeżywający sprzeciw wewnętrzny wobec naruszenia form sprawiedliwości społecznej, zadały ciężkie straty i bolesne w ludzkich i sprzęcie Armii Radzieckiej i aparatu administracyjnemu, powodując jednocześnie morze cierpienia dla społeczeństwa polskiego i wtrącając je w konflikt z Armią Radziecką w tym czasie, gdy walczyła daleko na zachodzie z hitlerowskimi Niemcami. Stalinowska polityka wszechwładnego NKWD kosztowała stronę radziecką ogromne ofiary i wielką liczbę żołnierzy i oficerów radzieckich oraz działaczy partyjnych, która padła ofiarą bratobójczych walk. Jednocześnie pociągnęła ona za sobą wielkie szkody i spustoszenie w dziedzinie politycznej, ciężkiej - wbrew pozorom - do dziś na stanowisku społeczeństwa polskiego do ZSRR.

HELENA
PASIERBSKA

CZY ROSSIE
W WILNIE
GROZI ŚMIERĆ ?

Cmentarz Rossa w Wilnie należy do najstarszych w Europie środkowej. Został założony przez burmistrza miasta Bazylego Müllera w 1769 r. Dla porównania - we Francji dopiero w 1776 r. król Ludwik XIV we współdziałaniu z duchowieństwem nakazał zakładanie cmentarzy poza murami miasta. Uważano wtedy tę decyzję króla za prekursorską, dotychczas bowiem od czasów średniowiecznych grzebano zmarłych, w zależności zresztą od ich pochodzenia: w podziemiach kościołów duchowieństwo, patrycjat miejski oraz szlachtę, na terenie przykościelnym biedotę. W mentalności ówczesnych katolików chowanie zwłok w polu traktowano jako zniewagę dla ciała i krzywdę dla duszy. Wobec tego postanowienie burmistrza Wilna miało charakter nader postępowy, podyktowane było jednocześnie względami praktycznymi, po prostu skurczyła się przestrzeń zarówno w kryptach kościołów, jak i wokół nich. Te same sprawy zaistniały również w innych miastach polskich, tylko nieco później. Zaczęto zakładać cmentarze poza miastem. Łyczakowski we Lwowie /zgodnie z treścią najdawniejszych płyt nagrobnych/ jest datowany w 1786 r., Powązkowski w Warszawie w 1790 r., zaś Rakowicki w Krakowie w 1802 r.

Wyznaczenie w Wilnie miejsca ~~Rossa~~ zwanego Rossą okazało się nader pomyślnie. Sama nazwa pochodzi ponoć od takiego określenia święta pogańskiego, według I.J. Kraszewskiego zaś okolica, na której odbywały się igry w święto Lady nosiła tę nazwę. "O cieni on a wiekow ym isosny i zieloną dąbrową brzozi dębów, urozmaicon a falistością w górz i dolin, o tajemniczej głębi cieniów... zdawałaby się raczej parkiem jakiejś królewskiej rezydencji niż miejscem smutku"-jak pisał Edward Pawłowicz. Piękne położenie cmentarza zachwyca każdego do dziś. Pagórkowate wzniesienia sprawiają, że gdy stanie się wyżej, widzi się tysiące krzyżów w dole, a gdy w dolinie-rysują się szczyty gęsto porośnięte krzyżami oraz kamiennymi posagami.

Lecz nie położenie decyduje o ważności takiej instytucji jak cmentarz. Ono stanowi jedynie dodatkowy walor estetyczny. Tu leżą nasi zasłużeni przodkowie: poeci i artyści, profesorowie uniwersyteccy, muzycy, malarze, lekarze i inni poważni autentycy - twórcy w najróżniejszych dziedzinach życia, krzewiciele oświaty i polskości w okresie niewoli, jak również bohaterowie, walczący o wolność z orężem.

Gdy znajdziemy się na tym cmentarzu lub wyobrazimy go sobie, to przesuwają się przed nami postaci z minionych epok. Oto: Franciszek Smuglewicz - pierwszy polski malarz historyczny, prof. Uniw. Wil., utrwalili na płótnie wielkie wydarzenia mu współczesne, np. "Przysięga Kościuszki", zm. 1807 r.; Ezebiusz Słowacki - historyk i teoretyk literatury, ojciec Juliusza, zm. 1814 r., na pomniku, dziś nie istniejącym, wyryty był wiersz, napisany przez niego przed śmiercią:

"Wędrownik w trudzie życie mdłą stragawszy siłę,
Wkrótce rzucę, co miłe i co niemiłe
Bez trwogi, nie bez żalu widę kres zbliżony,
Który nagle w nieznanie przeniesie mnie strony,
W tę spokojną uchronę, gdzie wieczność przebywa
I którą chmura pełna tajemnic okrywa"

A oto grób Augusta Becu - następcy Ezebiusza Słowackiego przy boku p. Salomei z Januszewskich, prof. medycyny Uniw. Wil., pierwowzór Doktora z "Dziadów części III", zm. 1824 r.; na tzw. "Górcie Poetów" Władysław Kondratowicz /Syrokomla/ - poeta, pisarz, tłumacz. Na polnym kamieniu napis: "Skonał, grając na lirze". Niezrównany gawędziarz, jego utwory krążyły po kresowych wsiach i zaściankach, zm. 1826 r.; Onufry Pietraszkiewicz - filonata, bliski przyjaciel A. Mickiewicza, zm. 1863 r.; Eustachy Tyszkiewicz - hr. archeolog i pisarz, w latach 1840-63 stał na czele większości polskich poczyniń kulturalnych w Wilnie, zm. 1873 r.; Jan Kazimierz Wilczyński - sławny wydawca, autor popularnego "Albumu Wileńskiego", zm. 1885 r.; Józef Montwilk - działacz społeczny, założyciel zakładów wychowawczych i dobroczynnych, zm. 1911 r.; Aleksander Oskierko - członek Rządu Narodowego w 1963 r., wieloletni zesłaniec na Syberii. Jako ciekawost-

ka: tamże w 1867 r. brał ślub z przybyłą doń z kraju narzeczoną, podczas której to uroczystości zdjęto mu kajdany, ale tylko na ten moment, zm. 1911r.; Mikołaj Czurlonis - litewski muzyk i malarz w jednej osobie, wychowanek warszawskiego środowiska artystycznego, zm. 1911 r. w wieku 36 lat. Jan Basanowicz i us - lekarz, "ojciec" litewskiego nacjonalizmu, zm. 1927 r.; tuż przy kaplicy pomnik wybitnego uczonego, historyka, działacza patriotycznego J o a c h i m a L e l e w e l a. Wyryte są trzy daty: 1286 - urodzenie, 1861 - śmierć w Paryżu, 1889 - przeniesienie prochów do Wilna.

I tak można by wyliczać długą, przedługą listę zasłużonych, spoczywających na cmentarzu Rossa, wymienieni zostali wrywkowo tylko niektórzy, nieliczni, wszyscy zaś czekają na rzetelne ich przedstawienie, tak jak to się stało z luminarzmi naszej przeszłości, pochowanymi na Powązkach, Rakowicach czy na Łyczkowskim we Lwowie

Co będzie z cmentarzem na Rossie? Czyżby śmierć?

Możemy o nim przeczytać jedynie w starych przewodnikach po Wilnie z lat dwudziestych lub trzydziestych, i to tylko fragmentarycznie. Natomiast z aktualnej prasy Litewskiej SRR dowiadujemy się rzeczy przerażających, zapowiadających autentyczną zagładę tego zabytku. W codziennej gazecie w języku polskim "Czerwony Sztandar" w dziale "Wilnius miastem wysokiej kultury" zamieszczone są artykuły pod znanymi tytułami: "Rossa wymaga opieki", "Pamięć, którą musimy zachować", "Skargi, odpowiedzi i co dalej?" /z 17 VIII 1985 r., 28 XII 1985 r./. Redakcja tego dziennika apeluje do społecznego sumienia, zabiega w odpowiednich władz, jak dotychczas bezskutecznie, piętnuje grasujących po cmentarzu wandalów, określając ich czyny jako zbrodnię przeciwko kulturze. A oto one: poobijane krzyże, zerwane ogrodzenie, otwarte grobowce, pomniki oblewane żrącą substancją /przypuszczalnie kwasem siarkowym/, wskutek czego marmury u nasady nadkruszone odpadają i następnie...znikają. Koło kaplicy, a więc w części centralnej cmentarza, zniszczony został grobowiec Czapskiego, Korwin-Milewskiej przy wejściu głównym. O tym ostatnim wiemy ze starych przewodników po Wilnie, że wyróżniał się szczególnie pod względem artystycznym. A teraz /w czerwcu 1985 r./ "zniknęły części obudowy z białe-

go marmuru, ogrodzenie od strony wejścia również nosi ślady zalania kwasem siarkowym". Z zamieszczonych listów czytelników w dzienniku wynika, że "istnieje zorganizowana grupa przestępców planowo dokonująca zniszczeń". "Niedawno /jak podaje "Czerwony Sztandar"/ podpalono pomnik i zerwano łańcuch na grobie znanego wydawcy, autora "Albumu Wileńskiego" Jana Kazimierza Wilczyńskiego". Przy wyrębie ogromnych drzew w czerwcu ubiegłego roku zniszczono wiele nagrobków.

Na zamieszczone informacje w prasie Ministerstwo Kultury Lit. SRR odpowiedziało, iż fakty te, niestety, są oczywiste. "Na wileńskim cmentarzu Rossa na razie sporo jest nieporządków". Odpowiedzialność za nie oraz "finansowanie wszelkich prac jest w gestii Wileńskiego Miejskiego Komitetu Wykonawczego". Ten ostatni udzielił wyjaśnień redakcji "Czerwonego Sztandaru", że "z powodu obszernego zakresu prac restauracyjnych zabytków architektonicznych w m. Wilnius prace nad zagospodarowaniem cmentarza Rossa zostały przerwane. Roboty te planuje się w latach 1986-1987 włączyć do programu prac Republikańskiego Zarządu Restauracji Zabytków Kultury" /przerwane prace dotyczą 12 kwartału, który rzekomo uporządkowano/.

Nasuwa się pytanie: jeżeli dopiero w podanych latach będzie planowanie robót, to kiedy przystąpi się do ich wykonawstwa i czy wtedy będzie jeszcze co restaurować? "Czerwony Sztandar" apeluje o niezwłoczne zabiegi konserwatorskie cmentarza, jak również o jego ochronę. A my tu w Polsce jesteśmy w tej sprawie bezradni.

Miałam takie odczucie w czerwcu 1980 r, kiedy znalazłam się na Rossie. Dzień był chmurny i zimny, na cmentarzu prawie żadnych odwiedzających. Gdy zatrzymałam się przed płytą Józefa Piłsudskiego, czytając słowa: "Matka i serce Syna", a poniżej wersy J. Słowackiego:

"Ty wiesz, że dumni nieszczęściem nie mogą
Za ich śladem iść tą samą drogą"

nagle pojawiła się obok mnie jakaś kobieta. Wycierając szmatką marmurową płytę i ustawiając wazon z kwiatami, mówiła przyciszonym głosem: "Pani, ja te kwiaty pochowałam w łopuchach, bo dziś ludzie nie przychodzą, a zaraz je żuliki pokradliby". Pokazywała z przejęciem marmur popękany od uderzeń ostrym, ciężkim narzędziem. Opowiadała, że nieznanymi osobnikami rzucają zza muru kamieniami. Pomyślałam: jeżeli tu na zewnątrz tak dzieje się, to jakże bez-

karnie muszą buszować wśród mogił porośniętych krzewami?

Ten, kto nie był na Rossie musi wiedzieć, że przed wejściem głównym znajduje się spora przestrzeń okolona murem, na której wśród wielu szeregów zwartych mogił grobów żołnierzy oficerów i ochotników różnego wieku i stopnia, poległych w 1919 i 1920 r. umieszczono w maju 1935 r. w srebrnej urnie serce Marszałka Polski wraz ze sprowadzonymi z Sugint prochami jego matki Marii z Billewiczów Piłsudskiej. Przy wejściu na ten cmentarzyk tkwi mała kapliczka na wzór wiejskiej z wizerunkiem Matki Boskiej Ostrobramskiej. Wszystko urządzone w 1936 r. według projektu prof. Wojciecha Jastrzębskiego. Natomiast przed szeregami żołnierskich mogił stoją krzyże /kto wie czy do dzisiaj?/ naszych chłopców, tych którzy zginęli przy zdobywaniu Wilna w 1944 r. Na tabliczkach lakoniczne napisy: Stanisław Wołkowski - por. AK ps. "Sęk" 1915-1944; Jan Hiller ps. "Kapuza", lat 19, zm. 7.VII.44; Jan Łysienko - podchorąży pilot poległ śmiercią bohatera 9.VII.44, lat 30; Stefan Cało ur. 26.V.29, zm. 8.VII.44 i wiele innych.

Wracając do owej bytności na Rossie w 1980 r., to poznaną kobietą "cmentarka" proponowała mi oprowadzenie po bardziej znanych mogiłach, przede wszystkim rodziny Piłsudskich. Leży tam bowiem brat Marszałka Adam, jego rodzeństwo oraz pierwsza żona. Przygodna znajoma Helena Każurno, wyjaśniając swoją misję cicerone, wyciągnęła z kieszeni fotografię J. Piłsudskiego, opowiadała, że urodziła się we wsi przylegającej do Żułowa - majątku rodzinnego Marszałka. W Wilnie pozostała, nie pojechała w swoim czasie do Polski, ponieważ chce czuwać nad mogiłami. O tejże kobiecie jest wzmianka w art. "Czerwonego Sztandaru" /z grudnia 1985/: Obecnie "na Rossie panuje zimowa cisza...Od czasu zjawiają się poszczególni zwiedzający, którym swą pomoc bezinteresownie deklaruje mieszkająca w pobliżu cmentarza Helena Każurno, znająca to muzeum kultury i pamięci jak własnych pięć palców". Oto relikwiarz przeszłości, niczym XIX-wieczny gospodarz na cmentarzu, który miał obowiązek nie tylko dbać o porządek, lecz nawet nie wolno mu było oddalić się na czas dłuższy niż pięć godzin. Różnica ta, że p. Helena robi to bezinteresownie.

W ogóle w tzw. czasach dawnych, np. w XIX w., na cmentarzach panował porządek. Oprócz gospodarza, inaczej zwanego zarządcą, byli podlegli mu grabarze, stale zamiesz-

kały przy cmentarzu ksiądz kapelan oraz dziadek Towarzystwa Dobroczyńności. Grabarze oprócz czynności związanych z chowaniem zwłok oraz prac porządkowych i ogrodniczych pilnowali, aby na cmentarz nie przedostawali się pijacy i włóczęgi. Mało tego, zwracali uwagę, by odwiedzający zachowywali się godnie, nie palili tytoniu. Obowiązywał ich schludny ubiór, uprzejmość i trzeźwość. Dziadek Towarzystwa, siedzący zazwyczaj przy bramie, alarmował za-
ezadę, gdy widział podejrzanych osobników. Do jego po-
winności należało dzwonienie podczas pogrzebów, no i pil-
nowanie puszek na ofiary. Ten anachroniczny dla nas por-
ządek gwarantował jednak ład, którego tak bardzo brak
na Rosji. Czytelnicy "Czerwonego Sztandaru" pisza: "Wy-
daje się, że nadszedł czas, żeby społeczeństwo zajęło
się Rosją i nie pozwoliło, aby ten zabytek zniknął z po-
wierzchni ziemi. Ci, którzy tam spoczywają, niestety,
już nie upomną się o swoje prawa, to my musimy zadbać,
by pamięć o nich pozostała dla przyszłych pokolei" /"Cz.
Szt." z 28.XII.1985 r./.

Gdańsk, 9.II.1986

Helena Pastierbsak

/Tekst zamieszczamy bez wiedzy i zgody autorki/.

D O
Ż Y D Ō W

Kazimierz
Wierzyński

Wybrany po raz nie wiadomo który
Śród człowieczego potomstwa tej ziemi
Na wyniszczenie, na śmierć i tortury,
Tym razem nawet chirurgii i chemii -

Zamknięty w ghektach i stadem stłoczonym
Do bram biegnący, by z nędzy i gruzów
Wieżli cię potem więziennym wagonem
Ludscy rzeźnicy do ludzkich szlachtuzów -

Byś nosząc gwiazdę Dawida dla śmiechu,
 Że ongi silnych obalał był z procy.
 Do ostatniego wciąż liczył oddechu
 Na jakąś pomoc lub złudę pomocy -

Byś znakowany numerem na plecach,
 Odwzony z brudnych baraków i kojców,
 Stosami kości nawarstwiał się w piecach,
 Syn takich samych, jak wszyscy my, ojców -

Byś nie pojawiwszy z losu własnego,
 Od pierwszej chłosty po życia ostatek
 Pytał się nieba i ziemi: dlaczego?
 Syn takich samych, jak wszyscy my, matek -

Tak w swej niedoli cierpiący, jeżeli
 Szukasz gdzie bliźni, spójrz między upiory
 Tych co do końca wraz z tobą cierpieli,
 Bracie z tej samej gazowej komory.

Tak w swej niedoli przez możnych zdradzonych,
 Co świat sprzedali za kulę i ołów,
 Spójrz, jak ginęli nam bracia i żony,
 Wszyscy zmieszani dziś w garści popiołów.

Tak pogwałcony siłami ciemności
 Błądząc wśród grobów i zmory bezsennej,
 Spójrz, jaką hańbę siał wróg w naszej ziemi,
 Gdy w niej dolinę otwierał Gehenny.

Tak doświadczony, gdyś powstał w Warszawie
 By choćby ginąć, lecz wolnym nareszcie,
 Spójrz, co zostało po krwi i po sławie
 Z naszej świątyni powstańcom w tym mieście.

Ach, tak że wszystkich narodów wybrany,
 Spójrz, jak jest wspólna Jeruzalem nasza,
 Ty coś od płaczu kamieniał u ściany
 I coś nie przestał wciąż czekać Mesjasza.

Są we Wrocławiu trzy unikalne zabytki żydowskiej architektury sakralnej: synagoga /ul. Włodkowica/ i dwa amentarze /ul. Słężna i ul. Lotnicza/. Synagoga "Pod bocianem" powstała w l. 1827-1829 wg projektu K.F. Langhansa, jako gmach wolnostojący na rzucie prostokąta. Wnętrze jest halowe z dwukondygnacyjnymi emporami, na które prowadzą, umieszczone w narożach budynku, cztery klatki schodowe. Całość nakryta jest stropem kopułastym, zwieczonym latarnią. Na początku XX w. dobudowano główną klatkę schodową, przylegającą do sąsiedniego budynku mieszkalnego. Do jej budowy użyto, po raz pierwszy na Śląsku, żelbet. Ogólna powierzchnia użytkowa wynosi 1698 m². Świątynia jest częściowo podpiwniczona z nieczynną od dawna kotłownią c.o. Kiedyś synagoga przy ul. Włodkowica była jedną z dwóch świątyń wrocławskiej gminy żydowskiej. Druga stojąca niegdyś przy obecnej ul. Łąkowej, została spalona przez hitlerowców w tzw. "noc kryształową" roku 1938 a następnie całkowicie zburzona. Stare księgi i dzieła sztuki znajdujące się we wnętrzu uległy wtedy zniszczeniu. Natomiast przedmioty kultu religijnego z bóżnicy "Pod bocianem" hitlerowcy częściowo przetopili na złom, a reszta zaginęła bez śladu. Synagoga przy ul. Włodkowica przeszła dwa pożary: jeden w czasie II wojny światowej i drugi, mniejszy w 1969 r. Ze względu na brak ludności, która mogłaby korzystać z synagogi jako domu modlitwy, kongregacja wyznania mojżeszowego rezygnuje na początku lat 70-ych z opieki nad budynkiem na rzecz "administracji miejskiej". Nie zmienia to wcale sytuacji niszczonego obiektu, który w r. 1975 przekazano Uniwersytetowi Wrocławskiemu. Zaplanowano wtedy adaptację budynku na potrzeby zbioru czasopism Biblioteki Uniwersyteckiej. Na pewno odciążałoby to zapełniony po brzegi gmach przy ul. Szajnochy. W pomieszczeniach dolnych i na emporach można by lokować zbiory, a pod kopułą obszerną czytelnię. W 1978 r. ukończono projekt adaptacji i zagospodarowania i wolno zabrano się do remontu. Dokumentacja przewidywała dalsze podpiwniczenie, dobudowanie części administracyjnej, wymianę drewnianych stropów na ognioodporne, wy-

mianę klutek schodowych i mocno zniszczonego przez czas i grzyb stropodachu. Zaczęto wywozić ziemię i gruz pogiębiając piwnice. Trwało to kilka lat, aż w końcu Uniwersytet Wr. przestraszony wzrostem kosztów /sporo pochłonięła dokumentacja!/, po przeprowadzeniu ponownej analizy ekonomicznej remontu, uznał że cała sprawa nie opłaca się. Problem wrócił w r.1984 do fazy początkowej, czekając na nowego zainteresowanego. W międzyczasie giną pozostałości po dawnej dekoracji wewnątrz i specyficznej architekturze /np. fragmenty ozdobnych krat najwyższej empory/. Konieczna wydaje się jakaś szybka propozycja użytkownika, najlepiej instytucji kulturalnej, która swym charakterem potrafi wysoko ocenić i uszanować, tego tak oryginalnego i rzadkiego przecież świadka przeszłości. Ostatnio zainteresowany losem synagogi jest Miejski Dom Kultury, myśląc o zorganizowaniu w jej wnętrzu auli muzycznej. Lecz zanim dobiegną do nas głosy cichej, kameralnej muzyki, to dawna wrocławska bóżnica runie z wielkim hukiem, nie wytrzymując tej wydłużającej się z każdym dniem próby czasu.

W trochę lepszej sytuacji znajdują się wrocławskie, żydowskie cmentarze, które w ostatnich latach otoczono opieką. Dobrze jeszcze paniętamy jak cmentarz przy ul. Ślężnej ulegał systematycznej dewastacji i niewiele brakowało by decyzją "obrotnego prezydenta" - "saper" /, został po prostu zrównany za pomocą buldożerów z ziemią. Piękne pomniki nagrobne, opatrzone równie wspaniałymi hebrajsko-żydowskimi wersetami zaczerpniętymi ze Starego Testamentu, leżały w nieładzie pośród zarastającego je bujnego zielska i mchu. Niektóre były rozbite, zdekompletowane; nie do odtworzenia. Był to bardzo przyciębiający widok - porozbijane epitafia i płyty krypt grobowych, sterczące kikuty połamanych steli. Przerazające wrażenie sprawiały szczątki ludzkie pojawiające się nie tylko w potwierzanych grobowcach, ale również na powierzchni. Na płytach nagrobnych nazwiska niemieckich Żydów, chowanych od poł. XIX w. aż po r. 1942, kiedy to hitlerowski faszyzm przyniósł im zagładę. Ziemia, której czuli się od dłuższego czasu współgospodarzami, okazała się niegościnną. Ponieważ prześladowania Żydów nabrały na sile dopiero po r. 1938, część z nich zdarzyła opuścić Niemcy, emigrując przede wszystkim do obu Ameryk. Hitlerowcy mordują/"prezydent saper" - M.Czuliński, dziś dyr. Huty Siechnica.

jąc ludzi niszczyli równocześnie skarby ich kultury, w tym również synagogi i cmentarze. Chcieli zniszczyć teraźniejszość, przeszłość i przyszłość narodu żydowskiego. Kłopoty Niemców na wielu frontach wojny odsunęły decyzję o likwidacji wrocławskich cmentarzy żydowskich, które ucierpiały dopiero podczas oblężenia "Festung Breslau", a szczególnie cmentarz przy ul. Słężnej, leżącej na linii głównego uderzenia Armii Radzieckiej.

Spośród tysięcy Żydów pochowanych we Wrocławiu, wielu posiada jeszcze rodziny, pamiętające o miejscach spoczynku ich bliskich. Jednak gdy się tacy pojawiali /przed r. 1981/, szokowały ich puste miejsca po nieistniejących już grobach, porozbijane płyty itp., pomimo wspólnej przecież martyrologii narodu polskiego i żydowskiego. Niemcy hitlerowskie obeszły się z Żydami barbarzyńsko, a my nie uszanowaliśmy ich miejsc wiecznego spokoju. Dla ludzi czujących i myślących, cmentarz, bez względu czyj, pozostaje miejscem spoczynku umarłych, którym należy się pamięć, pomijając już fakt oczywisty, że profanacja na podobną skalę obraża uczucia religijne każdego człowieka wierzącego. Cmentarze wrocławskich Żydów posiadają również niemалą wartość historyczną, którą w dużej części zaprzepaszczono nieodwracalnie. Spoczywają tam prochy ludzi znanych w historii Żydów nie tylko niemieckich, ale całego świata - rabinów, polityków, artystów, pisarzy, naukowców, działaczy gospodarczych i społecznych. Bardzo interesujące i burzliwe są dzieje grobu wybitnego socjaldemokraty Ferdynanda Lassalle'a. Pierwszy, XIX-wieczny pomnik, pod którym poza Lassallem pochowani są również jego rodzice, stał do czasów II wojny światowej. Nieliczne i nieudane próby profanacji grobu ze strony nazistów nie wyrządziły wiele szkód. Dopiero podczas walk o Wrocław w 1945 r., grobowiec uległ poważnemu zniszczeniu. Reszty dopełnił czas i "poszukiwacze skarbów". W r. 1947 pojawiła się na podniszczonym grobowcu pamiątkowa płyta od PPS-u, w dniu ich przedostatniego kongresu. Jednak i polski napis otrzymał w późniejszych latach solidne razy.

Lata płynęły, grób jak i cały cmentarz niszczał nadal. W r. 1959 w wyniku interwencji angielskich i holenderskich socjalistów, władze miejskie Wrocławia fundują Lassallemu i już tylko jego matce "nowy" pomnik nagrobny. Nie było w tym nic wstydliwego, gdyby wiosną tego właśnie roku 1959 odkuto nowy pomnik. Ale w tym przypadku po-

służono się starym nagrobkiem /nie jest powiedziane, czy nie z tego samego cmentarza/, zmieniając tylko tablicę inskrypcyjną oraz wykuwając u góry pomnika nazwisko "Lassal". Efektowny nagrobek wykonany ze szlachetnego, czarnego kamienia ogrodzono słupami z łańcuchami. Niestety znowu na ponad dwadzieścia lat cmentarz żydowski stał się terenem niczym, pomimo formalnie przypisanego mu patrona /gospodarka komunalna!/. Zabrakło naturalnego opiekuna - może już nie w osobach potomków zmarłych, ale przedstawicieli narodu żydowskiego /szczególnie po r. 1968/. Osamotnienie cmentarza trwało, pomimo zaliczenia go w r. 1975 do obiektów zabytkowych. Jeszcze na krótko przed tą decyzją, ginie z rąk prezydenta - "sapera" kaplica przedpogrzebowa, stojąca u wrót cmentarza. Pomniki nagrobne, w tym również Lassalle'a, nadłuczone i popekane, były nadal niszczone przez niepogody i ludzi bezmyślnych lub złej woli. Niektórzy posuwają się nawet do przywłaszczania sobie "beIPAńskich" płyt, często w biały dzień. Dopiero w r. 1981 wkroczyły na teren cmentarza przy ul. Słężnej państwowe służby konserwatorskie, porządkując teren i rozpoczynając /wg wcześniej opracowanej dokumentacji/ zabiegi przywracające temu miejscu specyficzny i malowniczy wygląd. W tych ostatnich latach staraniem ofiarowanych i często osobiście zainteresowanych tą tematyką kompetentnych osób /architektów, historyków sztuki, przyrodników, kamieniarzy/, na cmentarzu przy ul. Słężnej uporządkowano zieleni i podniesiono setki starych nagrobków o dużej wartości artystycznej - przewróconych, popekanych, uszkodzonych. Nagrobki te są konserwowane i osadzone na nowych podmurówkach. W pierwszej kolejności zabiegom konserwacyjnym poddane zostały pomniki nagrobne Żydów niezmiernie zasłużonych dla Wrocławia, w tym również grobowiec rodziny Lassalle. Dziś teren otoczony opieką, zabezpieczony przed dewastacją i kradzieżą /całodobowy dozór/, przypominać zaczyna prawdziwy żydowski cmentarz. Jeżeli idzie o finansową stronę ratowania wrocławskich zabytków kultury żydowskiej, to wszystkie fundusze zostały przyznane przez centralne instytucje państwowe /dając dementi pomocy otrzymywanej od Żydów z zagranicy/, chociaż nie były to środki mogące dać szybkie i największe efekty. Drugi cmentarz żydowski we Wrocławiu przy ul. Lotniczej jest ciągle czynnym terenem grzebalnym, należąc do miejscowej kongregacji Związku Religijnego Wyznania Mojżeszowego.

Dyskusja jaką wywołał pokaz fragmentów a później w wybranych kinach całość filmu Shoah wciąż trwa przy czym, rzecz to w ostatnich czasach nieczęsta, toczy się ona nie tylko na łamach licznych czasopism i gazet, lecz również w setkach tysięcy polskich domów.

Z tego jednak co można najczęściej przeczytać i usłyszeć odnosić można wrażenie, iż najważniejszą w filmie sprawą była wyraźna, choć nie przekazana wprost, nuta niechęci autora do Polski i Polaków. Sprawa samej zagłady, próba jej udokumentowania, słowem to co stanowi wielkość filmu Lanzmanna zeszła w dyskusjach jakby na plan dalszy.

To prawda, tendencja nieprzychylna Polakom jest u Claude'a Lanzmanna obecna, jednak wśród licznych głosów oburzenia, wśród przytaczanych po raz kolejny danych o rozmiarach pomocy Żydom w okupowanej Polsce, nawet wśród pojawiających się nieźnająco głosów o dziejach i uwarunkowaniach antysemityzmu w Polsce i nie tylko w Polsce zabrakło mi, poza fragmentem tekstu Jerzego Turowicza, głębszej refleksji nad przyczynami i uwarunkowaniami owej niechęci czy urazu, których film Lanzmanna jest tylko jedną i to nie nazbyt drastyczną egzemplifikacją.

Bowiem owa niechęć czy uraz to fakt, przy czym manifestują się one nieraz daleko ostrzej i dramatycznej niż w "Zagładzie" by przytoczyć tu tylko książki Leona Urisa ze słynnym "Exodusem" na czele, pracę Thomasa Keneally'ego o Schindlerze i wiele, wiele innych świadectw.

Oczywiście konstatując fakt istnienia wśród wielu Żydów w Izraelu i poza Izraelem utrzymującej się w stosunku do Polski i Polaków niechęci, nieraz krzywdzącej wrogości, nie wolno zapominać iż istnieje też wielu Żydów czy osób żydowskiego pochodzenia w stosunku do Polski szczególnie życzliwych, że wreszcie i w naszym kraju wciąż mieszka, niestety coraz mniej liczna, grupa potomków skazanego na zagładę narodu, ludzi którzy swą miłość do Polski, swój głęboki polski patriotyzm dokumentowali i dokumentują w sposób niejednokrotnie heroiczny.

Ale jak powiadam, problem istnieje i zbyt to ważna i poważna sprawa by przejść nad nią do porządku dziennego, by nie zacząć próby przerzucania mostów. Niestety celowi takiemu nie mogą służyć jakże często odzywające się w Polsce głosy jałowego oburzenia, a także częste zwłaszcza w propagandzie próby kwitowania całej sprawy jako "antypolskiej kampanii" czy "antypolskiego spisku". Nie do końca też skuteczne jest, choć niewątpliwie potrzebne i ważne - bo zawsze potrzebne jest i ważne dokumentowanie historycznej prawdy - przytaczanie świadectw o setkach tysięcy polskich bohaterów ratujących Żydów od zagłady, przypomnienie o szczególnej sytuacji okupacyjnej na ziemiach polskich, wreszcie przypomnienie głębokich win innych narodów w stosunku do narodu wybranego na śmierć.

Zazwyczaj bowiem u podstaw niechęci czy urazów nie leżą wyłącznie przesłanki racjonalne, zbiorowe nastawienia nie kierują się prostymi prawami logiki i samo przypomnienie faktów, choć napewno potrzebne, niewiele tu zmieni. Zwłaszcza, że owo przytaczanie faktów odbywa się często w atmosferze oburzenia i urażonej dumy. Oczywiście trzeba nadal dokumentować prawdę o tych, którzy "ratując jedno życie ratowali cały świat". Ich bohaterstwo, zwłaszcza w kontekście niepowtarzalnej w innych okupowanych krajach sytuacji polskiej winno być publicznie docenione, jednak dokumentując historię nie możemy zapominać także o drugiej, mniej chwalebnej stronie okupacyjnego obrazu. Tak bowiem jak jest niebitym historycznym faktem iż sto kilkadziesiąt tysięcy polskich Żydów uratowało się przed zagładą dzięki bohaterstwu setek tysięcy Polaków gotowych ryzykować życiem własnym i swych rodzin, jest również niebitym faktem iż wielu Żydów poniosło śmierć gdyż znaleźli się Polacy, którzy ze strachu, z żądzy zysku czy z bezrozmownego odruchu posłuchu wobec władzy, niezależnie od tego jakiej, wydali ich w ręce katów. I zbywanie tego problemu gładką formułą, iż w każdym narodzie znaleźć można jednostki zdemoralizowane i nikczemne, choć jest to stwierdzenie niewątpliwie prawdziwe, wystarcza może by uspokoić nasze własne sumienia, nie wystarcza jednak by przekonać tych, którzy sami owej nikczemności i demoralizacji doświadczyli. Ich wspomnienia, ich urazy, ich odczucia trzeba zrozumieć. I uszanować. A już wliczanie, kto w Polsce przeważał, czy bohaterzy czy

rikczeniacy, do niczego prowadzi: nie może. Bowiem, jak w czasie ubiegłorocznej sesji w Oksfordzie powiedział jeden z jej uczestników Rafael F. Scharf, "krzywda się w skale ryje a dobrodziejstwa na piasku". Arytmetyka jest w tym przypadku tym bardziej bezradna, że jeden sprawiedliwy uratować mógł jedno ludzkie istnienie, w najbardziej sprzyjających okolicznościach kilka, jeden zbrodniarz spowodować mógł śmierć dziesiątek ludzi. To prawda, donosiciele byli karani przez polskie podziemie, ale przecież egzekutywa władz podziemnych zbyt była słaba by ten haniebny proceder do końca zwalczyć.

Jednak w dramatycznym splocie spraw polsko-żydowskich istnieje też inny, bardziej subtelny i trudniej uchwytny niż proste wymierzanie win i zasług problem. By go zrozumieć, by go sobie uświadomić konieczne jest zrozumienie sprawy zasadniczej. Otóż historia ludzkości jest świadkiem ogromu okrucieństw, masowych morderstw, tortur. To jednak co spotkało w czasie II wojny światowej naród żydowski było czymś w dziejach ludzkości jedynym nie mającym żadnych analogii ani precedensów czymś niepowtarzalnym i - miejmy nadzieję - ostatnim. Skazanie na totalną zagładę całego narodu, narodu bogatego historią, kulturą, tradycją, narodu zachowującego wprawdzie w znacznej swej masie odrębność, zespolonego jednak z innymi narodami więzami trudnymi do rozerwania było czymś całkowicie nowym i przerażającym. Ludzi mordowało się i morduje dla wielu powodów: dla żądzy zysku, dlatego że uważa się ich za wrogów zagrażających czyimś interesom czy doktrynom, słowem dla takich czy innych celów. Zagłada Żydów była czymś innym. Było to sprowadzenie milionów istnień ludzkich do statusu ściganych i tępionych zwierząt, do sytuacji wobec której nie było żadnej możliwości obrony czy ucieczki. Sam fakt urodzenia Żydem, ba posiadanie żydowskich przodków oznaczał nie tylko wyrok śmierci, oznaczał odebranie godności ludzkiej. Zaowocowało to nie tylko śmiercią milionów ale także - i tak stać się musiało - głębokimi zmianami w psychice tych, którzy ocalili a także pokoleń następnych. I stawianie znaku równości czy analogii między zagładą a takim czy innym wcześniejszym czy późniejszym antysemityzmem, porównywanie losów Żydów do losów innych przeżywających qehenę okupacji narodów stanowi niezrozumienie tej najważniejszej i najtragiczniejszej sprawy.

Niestety świadectw o tym, co czuli, jak odbierali tę przerażającą sytuację członkowie narodu skazanego, nie ma wielu. Nieliczni ocaleli, nie wszyscy chcą do tamtego czasu wracać pamięcią. Tym więc cenniejsze są dwa świadectwa, które ukazały się niedawno. Pierwsze to autobiografia Romana Polańskiego, gdzie wprawdzie epizod okupacyjny stanowi tylko drobny fragment całości, jest jednak dostatecznie przejmujący; drugie to "Sublokatorka", nowa powieść Hanny Krall. Przekaz Polańskiego ma charakter przede wszystkim faktograficzny, znana reporterka stara się nam przekazać coś więcej. Nie czuję się kompetentny by analizować wartości literackie ostatniej pozycji autorki "Żdażyć przed Panem Bogiem". Mam nadzieję, że uczynią to fachowcy-krytycy i wierzę, że będzie to ocena wysoka. Że tak się stało świadczy uhonorowanie "Sublokatorki" nagrodą Solidarności za 1985 rok. Mnie jednak interesuje w "Sublokatorce" co innego - próba przedstawienia świata tych, którzy skazani na śmierć, skazani na łaskę i niełaskę innych w ostatecznym rachunku trwać musieli sami, ze swym poniżeniem, ze swym strachem, ze swą bezbronnością.

Hanna Krall jest urodzoną reporterką. I nie zawikła psychologiczne introspekcje, lecz właśnie reporterskie migawki, skróty zawarte w beznamiętnym opisie, w rysunku sytuacji przemawiają w "Sublokatorce" najdramatyczniej.

Oto spacer. Tytułowa, pięcioletnia wówczas "sublokatorka", której w mieszkaniu nigdy nie wolno było podchodzić do okna, która dobrze znała swój obowiązek wchodzenia do skrytki za piecem, gdy tylko w mieszkaniu pojawił się ktoś obcy, której w określonych godzinach nie wolno było korzystać z toalety, czasem mimo wszystko zabierana bywała na spacer.

"Zakładaliśmy ci chustkę głęboko na czoło, podnosiliśmy wysoko kołnierz, ale to nie wystarczało, bo zostawały oczy, a oczy były najgorsze. Na szczęście moja matka wpadła na wspaniałą pomysł: kamień. Idąc ulicą popychałaś nogą kamień, jak w grze w klasy, dzięki czemu mogłaś mieć spuszczone oczy nie budząc podejrzewania. Cóż bardziej naturalnego niż mała dziewczynka pochłonięta grą w klasy i nie odrywająca od kamienia oczu? Od czasu do czasu odgrywałyśmy scenki przed paniami, które nas mijały. Moja matka mówiła na przykład

- zostawże to wreszcie, buty sobie zniszczysz, a ty dalej swoje - stuk i na płytę, nieposłusznie, jakbyś niesłyszała, jak normalna nieposłuszna dziewczynka, która nie słucha cioci, no a ja obok zgorszona, bo w przeciwieństwie do ciebie grzeczna i nie niszcząca obuwia. Więc moja matka wymieniała ponad twoją głową porozumiewawcze uśmiechy z innymi paniami, z innymi ciociami zwykłych, normalnych dziewczynek..."

Albo inna scena, bodaj najbardziej wstrząsająca. Wybuch powstanie warszawskie. Sublokatorka wreszcie nie musi spuszczać wzroku. I ten wybuch niepohamowanej radości, gdy ostrzegają ją, że na ulicę nie należy wychodzić bo strzelają: "D o w s z y s t k i c h s t r z e l a j a , w s z y s c y m o g a z g i n a ć..."

I dopiero zrozumiałwszy te płyty chodnika, spuszczonego wzrok, zrozumiałwszy kim dla owych "sublokatorów" byli ci, którzy normalnie mogli chodzić po ulicach, normalnie żyć, nawet normalnie ginąć, przybliżamy się do tego wielkiego problemu jakim stały się stosunki polsko-żydowskie. Pamiętać bowiem trzeba, że - choć to zabrzmieć może jak paradoks - prawdziwymi panami życia i śmierci dla ukrywających się podczas okupacji Żydów nie byli w Polsce Niemcy. Ci byli jakby poza nawiasem, jak sama zagłada, jak los, jak żywioł przed którym nie ma ratunku. O tym, czy uciekający z getta, z transportu, z obozu Żyd przeżyje, czy nie, decydowali nie Niemcy. Tutaj nie było żadnych złudzeń. Rozpoznanie przez Niemca oznaczało wyrok bez apelacji, bez żadnych szans ratunku. Być może i wśród Niemców zdarzali się sprawiedliwi, ale były to zupełne wyjątki. Polacy byli tą wielką niewiadomą. Do nich Żydzi zwracali się o pomoc. Ci zaś często tej pomocy z narażeniem własnego życia udzielali, często odwracali wzrok nie pomagając ale i nie szkodząc, dając kolejną szansę, ale bywało i tak, że skazanych na śmierć wydawali w ręce kata. Nikt nie próbował obiektywnie i bezstronnie ustalić, jak częste to były przypadki. Ale były. Tak więc los Żyda zależał przede wszystkim od tego, czy trafi na którąś z tych tak wspaniale przez Hannę Krall opisanych pań o gładko upiętych włosach, zamieszkującą obszerne mieszkanie i nie zadającą zbędnych pytań, czy będzie to polski chłop, który w sposób naturalny przyciemni do izby każdego kto znajdzie się w potrzebie, czy też przeciw-

nie, ktoś kto pobiegnie na najbliższy posterunek...

Jak już wspomniałem, wszelka arytmetyka, wszelkie wyliczanie, kto przeważał, to spór jałowy. Trzeba oczywiście przypominać zwłaszcza tym, którzy okupacji w Polsce nie przeżywali albo jej już nie pamiętają, jakie były warunki udzielania pomocy i czym to groziło. Ale wszystko to pamięci krzywd nie wymaże.

Wspomniany tu już R.F. Scharf na tejże sesji w Oxfordzie powiedział iż największą tragedią Polaków było iż "wśród okrutnych dopustów losu wystawieni zostali na bezprzykładną, szatańską próbę moralną". Próbę której sprostanie było niemożliwe, bo jak powiedział także Władysław Bartoszewski, patrząc z moralnego punktu widzenia ani w Polsce ani gdzie indziej w okupowanej Europie nie uczyniono dla Żydów "dość dużo", gdyż "dość dużo" uczynili tylko ci, którzy sami zginęli przy udzielaniu pomocy. Jak wiadomo, ludzie tacy w Polsce byli. Ale naszą wielką tragedią pozostało, iż bez naszej woli i winy nasz kraj właśnie stał się miejscem zagłady, wielką zbiorową mogiłą całego narodu. I znów zrozumieć trzeba tych, dla których wszystko, co z krajem tym się wiąże, spostrzegane bywa przez tamą, dramatyczną sytuację.

I wreszcie sprawa bodaj najbardziej delikatna. Historia Żydów, którzy w Polsce, dzięki Polakom przeżyli okupację, to dramatyczna historia najgłębszego z możliwych poniżenia i upokorzenia. Tylko ten, kto sam poniżenia i upokorzenia doznał, wie, iż normalną ludzką reakcją, gdy koszar już minie, jest niechęć do świadków własnego strachu, własnego zepchnięcia na dno. I to także trzeba zrozumieć i uszanować.

Powie ktoś, że przecież Żydów, którzy w Polsce przeżyli okupację, nie ma już zbyt wielu, często to nie oni najbardziej są zaciekli w niechęci ku Polakom. To prawda. Ale zbiorowe stereotypy, zbiorowe nastawienia to pewniern fakt socjologiczny, który, niezależnie od tego czy się on nam podoba czy nie, istnieje. Stereotypy trzeba przełamywać, lecz nie można tego robić bez próby zrozumienia, skąd się wzięły, jaka może być ich geneza. A więc raz jeszcze - zrozumieć i dopiero poprzez zrozumienie zaczynać zasypywać przepaści.

Jak już na wstępie wspomniałem jest także wielu, bar-

dzo wielu Żydów, którzy wszystkich wspomnianych tu uraz i niechęci nie odczuwają. Reakcje ludzkie bywają bardzo złożone. Te same bodźce, które u jednych powodują niechęć, u innych rodzić mogą uczucie wdzięczności, solidarności, wielkoduszności. Mamy więc wśród Żydów także wielu dobrych i wypróbowanych przyjaciół, wielu też uratowanych w czasie wojny w Polsce czy poza jej granicami żyje wśród nas dzieląc z nami na równi dobre i złe losy. Są też i tacy, którzy z godną podziwu wytrwałością starają się przetrząsnąć mosty ponad dawnymi urazami i niechęcią.

I zapewne wiele spośród owych urazów i niechęci dawno by już odeszło w bezpowrotną przeszłość, tak jak odszedł tradycyjny przedwojenny antysemityzm, gdyby nie wydarzenia które miały miejsce w czasach już powojennych. Wydarzenia tragiczne. Otóż bezpośrednio po wojnie, co wydawać się może tragicznym paradoksem, w części społeczeństwa polskiego odżyły z całą mocą hasła antysemickie. Łączyło się to z zagubieniem i rozchwianiem wywołanym zakończeniem wojny co dla Polski było zarówno zwycięstwem jak i klęską. Faktem jest, że w składzie nowej, narzuconej z zewnątrz władzy, zwłaszcza w zniechęconych i budzących grozę organach bezpieczeństwa był wyższy procent ludzi pochodzenia żydowskiego niż wynikać by to mogło z czystych prawidłowości statystycznych. Stąd też ataki przeciw nowej władzy, zwłaszcza wywodzące się z "nieprzejednanych" kręgów związanych ze Stronnictwem Narodowym i Narodowymi Siłami Zbrojnymi łączyły często hasła antykomunistyczne z antysemickimi. Do dziś starsi pamiętają kursujące wówczas różne wierszyki, dowcipy, hasła /Jaką mamy władzę? Jak ryba, bez głowy a reszta po żydowsku/ przy pomocy których agitację przeciw nowej władzy próbowano podbudować resentymentami antysemickimi. O tym, że propaganda ta trafiała na podatny grunt świadczą wypadki w Krakowie, w Rzeszowie a zwłaszcza tragiczny w skutkach pogrom kieleckich w 1946 roku, kiedy to z rąk tłumu zginęło kilka osób. I nieważne czy pogromy te były prowokacją, a jeśli tak to kto był ich organizatorem. Do dziś zresztą nie udało się tego w sposób bezsporny ustalić. Faktem jest, że tłum składający się z Polaków dokonał napadu na Żydów. Nic zatem dziwnego, że wielu Żydów opuszczało wówczas Polskę w poczuciu zagrożenia. I znów nie jest ważne czy zagrożenie to było naprawdę re-

alne - urazy powstają także na skutek wyobrażeń i przekonań. Ale jeśli nawet tamte, bezpośrednio powojenne wydarzenia złożymy na karb szczególnej sytuacji w Polsce gdzie w istocie toczyła się częściowo zimna, częściowo gorąca wojna domowa w czasie której ginęli ludzie po obu stronach barykady przy czym Żydzi ginęli często jako funkcjonariusze znienawidzonego przez wielu systemu, nikt i nic nie może usprawiedliwić wypadków, które miały miejsce w dwadzieścia lat później, kiedy to w celu wewnętrznych rozgrywek w łonie aparatu władzy po raz kolejny cynicznie przywołano hasło antysemityzmu, tym razem zdawałoby się na dobre już pogrzebane. I znów nie jest usprawiedliwieniem fakt, że hasłem tym posłużyli się konkretni, znani z imienia i nazwiska ludzie, że miało ono wyraźnie utylitarny charakter. Faktem jest bowiem, że tysiącom ludzi, którzy swą decyzję pozostania w Polsce najlepiej zaświadczyli o polskim patriotyzmie kazano składać owego wyboru poniżający rachunek. Wówczas to zablizniające się już rany i urazy ponownie z całą mocą odżyły. I podobnie jak było to tuż po wojnie w odrażającym polowaniu na czarownic brało udział, choćby biernie, zbyt wielu ludzi by móc znaleźć łatwe rozgrzeszenie składając całą winę na manipulacje ówczesnych władz. Trzeba bowiem wczuć się w sytuację tych, którzy często żegnani tylko przez najodważniejszych odjeżdżali z dworca Gdańskiego w Warszawie. Co odczuwać musieli gdy w kraju, który uważali za własny, którego częśćką się czuli wypomniano im nagłe pochodzenie w sposób wzięty żywcem z ustaw norymberskich? Ten naprawdę tragiczny okres stanowiący osobisty dramat setek czy tysięcy ludzi stał się bodaj największym dramatem dla obu naszych narodów wykopując od nowa przepaść, która zdawała się już zarastać. Nie ma bowiem silniejszych uczuć niż nienawiść będąca następstwem odrzuconej miłości. Choć i w tym miejscu powiedzieć trzeba, że wielu z tych którzy wówczas z Polski wyjechali z polskością i naszą ojczyzną nie zerwali służąc sprawie polskiej w swych nowych miejscach zamieszkania bardzo nieraz ofiarnie.

W czasie telewizyjnej dyskusji po pokazie fragmentów filmu Shoah Andrzej Grzegorzczak zacytował głośną, wziętą z innego kontekstu formułą "przebacznym i prosimy o przebaczenie". Spotkało się to z ostrą reakcją do pewnego stopnia uzasadnioną jako że niesposób porównywać dramatycznego wprawdzie splotu spraw polsko-żydowskich do sy-

tuacji wobec której tamtej formuły po raz pierwszy użyto. Ale w tym szczególnym kontekście reakcja telewizyjnych dyskutantów zabrzmiała wyjątkowo fałszywie, jako że uważali oni, iż to my nie mamy czego przebaczać Żydom. Zważywszy że jednym z uczestników owej dyskusji był Kazimierz Kąkol jeden z architektów Marca 1968 zabrzmiało to nie tylko fałszywie ale i obrzydliwie. Przebaczenie jest potrzebne zawsze, jak ujął to bowiem Karol Wojtyła broniąc się przed atakami po słynnym liście Biskupów nigdy losy narodów nie układają się tak by z jednej czy drugiej strony nie było czegoś do przebaczenia. Ale wydaje mi się, że w splocie spraw polsko-żydowskich nie tyle o przebaczenie chodzi co o zrozumienie. Przede wszystkim z naszej, polskiej strony. Lektura "Sublokatorki" Hanny Krall, autorki zresztą jak najdalej od wszelkich urazów czy niechęci w zrozumieniu tym bardzo może być pomocna.

A jest to ważne, gdyż zasypywanie przepaści budowa mostów porozumienia, które wszak na zrozumieniu musi się opierać to zadanie z którym nie można zwlekać.

Maciej Kozłowski

/Tekst drukujemy bez wiedzy i zgody autora/.

x x

Z żydowskiego humoru:

Przychodzi Żyd do rabina i pyta:

- Rabbi, jesteś mądrym człowiekiem, powiedz i będzie wojna, czy nie będzie?

- Wojny nie będzie - odpowiada rabin - ale będzie taka walka o pokój, że kamień na kamieniu nie zostanie.

x

- Tate, co to jest dyplomata? - pyta synek ojca - kra-marza.

- Dyplomata to jest taki kupiec, co handluje polityką.

JERZY
FICOWSKI

EGZEKUCJA PAMIĘCI

Gdy pierwsze łąty śniegu
tają
na błotach
pod miasteczkiem
chlupoczą kamasze

wraca czarny
pochód chasydów
siwobrodych

poznają starego Apcie

gawrony
sylabizują kanciasto
hebrajskie wersety
gałązek

Tu stała kiedyś bóżnica
z ptasią dzwonnica topoli

Konary wzniesione
jak ręce
witają salwę ciszy

i pamięć zabita
pada
beźlistnym szkieletem cienia
na wznak
i nagły upływ czasu
znów roztopami broczy

Jerzy Ficowski



W
Ł
A
D
Y
S
Ł
A
W

F
R
A
S
Y
N
I
U
K

NIEZALEŻNE WARSZTATY WYDAWNICZE

GENIWO

REDAGUJE ZESPÓŁ

CENA 50-